

Adam Kielbasiewicz



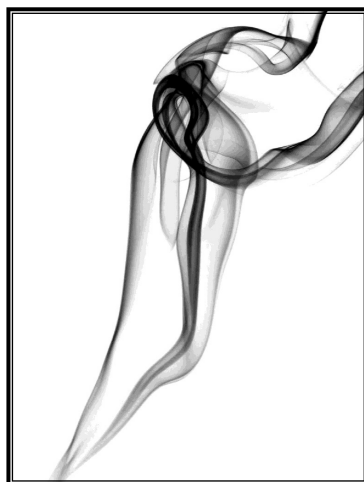
Po pierwsze...
Snuję sobie

Jaworzynka-Śliwkula (2011) 2012

Sobie Pisanie

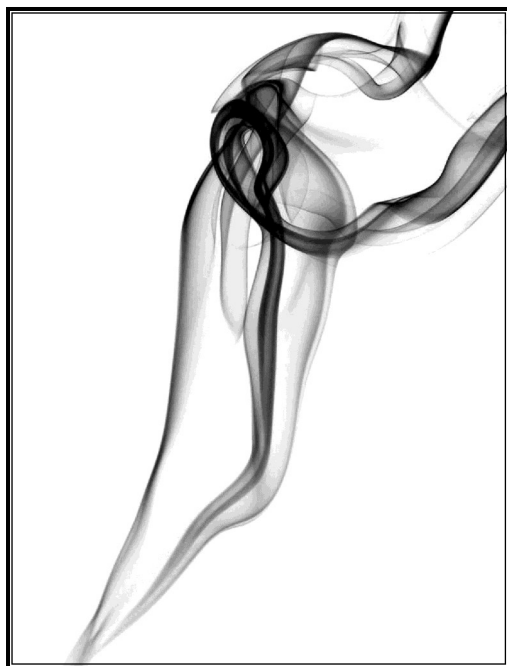
T. XXI-I²

Po pierwsze... Snuję sobie



Copyright © Adam Kielbasiewicz

Jaworzynka-Śliwkula (2011) 2012



Po pierwsze...
Snuję sobie

Z przymkniętymi do pół źrenic drzwiami wdzieram
się w snów Twoich przestrzeń kolorowo-liniową
gdzie ubrana wzorem skreślonym na oczekaniu
skonstruowanymi marzeniami pokojem obdarowana
skrzydłami tęsknoty z niepokojem by Twoim być
przyłotem...

Kiedy wrócę nieskażony do domu przyniosę Imię
Twoje dobre kłosem pełnym kromek rozdanych dalej
i dzban pełen potokiem rozlany szeroko nie wiedzieć
czemu zostawiłaś sobie tylko łez sznureczek na
ozdobę i uśmiech skromnie założony...

Gdziekolwiek bądź i dokądkolwiek słowem
powędruję ubogim klejnot podaruję temu co prosi
proszę hojnemu zaś dziękuję...

Zagarnąć i zamknąć w słowie tęsknotę i słów tyle
które paść mogły i tych co miały a nie padły teraz w
objęcia cienia czasu co umarły i który jako jedyny nie
będzie z martwych wstały...

Deszczem złotych kropeł zachodzącego słońca
żegnam się z chmurami tęczą ogniem gorącą zbożem
pachnącą zielenią traw uśpioną niebem odkłonią...

Złote jabłko pogryzałem słodkie dobrym słowem
zapijając cierpkim dniem zwykłym dziennym po
sobie wieczność na zmianę z terażniejszością
smakowałem krótką chwilę całym sobą płaciłem za
długą gościnę i za zbytek...

Do chwili krótkiej chwilę składam w deszczu słów
czekając na chwilę przysiadam i czekam czekaniem
słowem jednym nie nudząc się baśnie opowiadam do
baśni przykładam i badam ile chwil moich w
baśniach które czytam i które opowiadam...

Ocieniona zachwytem dotknięta serdecznie
paluszką ledwie poczętą przed tygodniem
jeszcze dziewczynką pozostając mamą się stając na
początku jednym z wielu Kropkiem – daj Bóg –
silnym pięknym mądrym i zdrowym...

Metamorfozy zarem słów nie oddają ciepła z obawy
by nie spopielić wspomnieniem żywych obrazem
martwych myśli nakrytych papierowym kapeluszem
codzienności malarzem co zawitał w gości...

Kosmyk pamięci wokół paluszka owinięty ciasno
dłoń przy dłoni krwią opisany na wewnętrznej
stronie życia co przechodzi krótkim krokiem z tamtej
na tę stronę i dalej nie patrząc zbytnio za siebie idzie
na tamtą stronę by nie zapomnieć...

Na paluszkach rosne sięgając nieba na przekór
innym planom zamierzeniom stawiam dom dla
wrażliwych niebiański pełen duchów anielskich
życzliwości wzajemnej dodawanej do każdej stawy
okraszonej uśmiechem dobrym słowem kromek
dobrych cały wspólny bochen...

Głodem rozpraszam słowa kierując z prostotą losem
człowieka pełnego zadumy nad historią świata stojąc
w pośpiechu pracując od poranka do świtu nie
budząc się wcale z obłąkania dobrobytem...

Ziewaniem daję znać o drodze do raju opowiadać
będę na skinienie palcem jednym najmniejszym
kierowany w życiu przykazaniem Twoim losem
zawstydzony kajam się by zmienić się choć o jotę...

Spacerując wymownie od okna do biegu się
przymierzam stroje błazna rolę poety niedolę
zostawić chcę przeżyć dzień za dniem przemija czas
już kończyć poemat o życiu spełnionym...

Zagwieżdżona na nieba pokłonie ku ziemi matce w
ojczyźnie opuszczonej wędrówką myśli zdobytej
przez zdolnych do zmian i do bycia innym niż
pokolenie zmian przechodzących do historii niebycia
tylko rekwizytem astronomii współczesnej co znaczy
tylko na chwilę...

Zostałem namaszczone żywym spojrzeniem
niebios co skłonię ku ojcowiźnie mojej wyśnionej
przejrzyście wyraziście zarysowanej piórem
anielskim bezbronny ofiarowany za oręż nie
walki a wykupienia wszystkich od winy zwątpienia i
strachu...

Żeglugi chmur białych aniołów po bezkresie
wyobraźni opisać się nie da a jednak próbuję
umieścić choć kawałek nieba w ramach
przezroczystych na kawałek ziemi pod stopami co
niosą nas naprzeciw sobie i przeciw zwątpieniu w
miłosierdzie chleba...

**Zamarłem w dźwięku nieoczekiwany w pół
nieboskłonu westchnień i zażaleń na wodę i ogień co
zerwały tamę obojętności i gwałtu nie czyniąc
nikomu odmieniły formy przypadki osoby czyniąc
zadość pragnieniu by być kimś znaczącym karty przy
stoliku Bożym...**

**Zemsta korowodów szkarłatem pozorów snuje się od
ucha plotką stu i jednogębną wpadając do ucha i
siejąc grozę ciemnooką złych słów cedzonych kropla
po jadowitej kropli zbieranych dzień za dniem
skończonym nienawistnym braterstwem cieni
publicznych..**

Plotka liściem urwanym z dalekiego kraju
niewidomym i głuchym powierzona w tajemnicy
wykrzyczana w głąb czeluści gdzie łatwo wrzucić i
ukryć się chcę na zawsze od kiedy tylko iskrę w
żrenicy schowałem przed światem zazdrosnym i
nienawistnym pragnień zwykłych tylko
czarnobiałych...

Cisza koloru malin zarośniętych bluszczem
nieobecności prawdy o istnieniu próbując powiedzieć
sumieniu o sobie krzycząc donosi nieświadomie na
siebie samą przed Najwyższym Sędzią stając ze
wstydem milczenia bezwstydnym wzrokiem mierząc
swą nagość...

Kiedy absolutyzm serca ogon podwinał i uciekając
zwiedzał okoliczne bary szybkiej obsługi
oczekiwałem od rozumu co na posterunku trwał woli
do pomocy przydany jako wsparcie nieskończoności
dla tego co tylko stworzone na obraz i wzór
rozpisany tylko może nieco lepiej choć niezbyt
udanym charakterem...

Łakomie kąsam życie uspołecznione w pary dobrane
może niezbyt udane i czasem udawanie szczęścia aż
nazbyt nieczytelny się staje każda dołączona
gwarancja nie mówiąc już o instrukcji obsługi...

Litery stawiam symetrycznie gawędząc o tym i o
owym na serca obu komorach i przedsionkach i o
zwykłych sprawach ludzi codziennością zmęczenia w
twarzach spożytej gazety wiadomości pełnej
rozkawałkowanych na świadomość nietykalności co
tylko srebrem piecowym mami mami mami...

Smutek rozpanoszony na szczęście rozpraszam i
stawiam los nieśmiało jeszcze gestem niezbyt
szerokim rzucony pod stopy przechodniów czasu i
przestrzeni na przekór pomiędzy Tobą i mną,
słońcem i księżycem, porankiem co jeszcze nie myśli
zmierzchu sensem dnia szóstego co dopiero u progu
swego staje utworzenia...

Ziarno rozsypałem kamieniem rzuconym się zdało w
niepamięć na odwrotnej stronie cienia pochylonego
nad skarbem złożonym w kołysce słowa co na
krawędzi zawieszono do skoku się czai w przestrzeni
wolna lotem niespokojnym pod gwiazdą szczęśliwą
spotkaniem choć ulotnym to już dokonany...

Pozornie tylko kocham Cię na pozór spokojnie krwią
tętniąc po łące niespokojnej myśli gnanej
niepewnością złapaną w kaganiec i związaną węzłem
ślubem przyrzeczeniem spojrzeniem jakoby ślepym
ale pewnym jak westchnienie w ciszy zdobytej tylko
raz jeden wiecznie jak ja dla Ciebie...

Wstecz o trzy kroki samotności z wątpienia rozpaczy
nie dając dojść do słowa które padły by zgoła
nieoczekiwanie przez nikogo niechciane nawet
deszczem obmywam twarz słońcu spalonej wiatrem
losu odmienić chcę oblicze słowem obmyślonym
nowym darem jak uśmiechem w cieniu nocy...

Posadziłem w milczeniu drzewo nieśmiertelności
wyczekując owoców które w słońca ciszy zakochany
dałby zakochanej w słońcu i w księżycu odkrywając
wzajemność w pożądaniu bez grzechu na spotkanie z
losem nie godząc się ślepym oczy otwierając na to co
istotne tylko i wyłącznie może być z siebie darem
chcianym i zagospodarowanym szczerze...

Nadprzyrodzona cielesność tajemnicy wspomnień
wrażeń dom budując zauważa pozorność słów
nieopatrznie puszczonej z wiatrem mów
napuszczonych dla tych co nieskładnie pożerają się
nawzajem gramatycznie obrazając delikatność
sumień nawet tych co wsparły się o kamień...

Kamień milowy cichcem wykradłem spod głowy
bogaczowi myśli idei prawd w ugór rzuconych by
uczynił dobro wolny swoją drogą życia nie żałując i
wstecz się nie oglądając przestrzeń brukowaną
gestem wypełnioną słowem utrzesioną dobrem na
które dotąd ślepy był ze ślepcami pod rękę
prowadzony w sen niespokojny...

Oślepiłem na dźwięk słowa które mnie pochłonęło
pijąc z duszy otwartej ostatnie krople sumienia w
z wątpieniu i strachu pośrodku niemocy uczynienia
czego i kogokolwiek zdrowym i beztroskim krokiem
pójść chciałem niewidomy dla innych przed Tobą jak
kamień wędrujący po-lodowcowy już nie oziębły lecz
słuchający widzący i żywy...

Siostra niechciana Śmierć uśmiechem wabi
nieskończoność przyprowadza do domu Cię
zapraszając w drogę czas by wyruszyć najwyższy i
chwalebny Boże co pomagasz przemijać oddechami
wspomnień rytm zmieniasz z dalekiej nieznajomej w
kogoś do przytulenia...

Zerknąłem tylko raz wstecz po raz drugi upadłem na
kolana w pył drogi tak w zasadzie do nikąd nikogo
nie poprowadzę do pojednania mojej naiwności z
dobrocią Twego stwarzania...

Dorosłości opowiedziałem z niewinną swadą o Tobie
zagoniony zapominając słów wypróbowanych
krótkich a dosadnych prostych dróg nie wytyczając
wśród innych powykręcanych starością co z za franki
wtrąca swoje trzy grosze jak przechodzień pijany
zgubiony w obcym mieście nad ranem...

W kolumnach pochylonych znojem wydarzeń
zapisano spotkanie osób z krajobrazem sztuki
kawałek drogi za kawałkiem odmierzany zegarem
wspomnień i wyobrażeń co przesiewa dobre i złe
uczynki człowieka dla człowieka...

Świtem gdybania nad dotkliwą wątpliwością losu
ironia przyziemnie smutnym głosem ochrypłym od
nawoływania słów niezrozumiałych bosych śladów
po rankiem złożonych na zimnej rosie kaskadą
zieleni powiększonej spływa spod palców Twojej
odwiecznej Dobroci...

W strwożonej niepamięci dobrego urodzenia duszy
korzeniami tkwiąc po zmysłów granice na
marginesach łowiąc dźwięki nieprzebytej głuszy
serca woli myśli dekretami sumienia które tłumić
może niechcący jedynie na starość rutyny
skostniałość i brak wymuszony pamięci
doświadczenia...

Zechce cicho i bez wyrazu wychodząc ze mnie lekkim krokiem to owo coś mną pozostając wynosić na zewnętrzną stronę istnienia zapomnianego przez postronnych widzów spektakli wypowiadając jestestwo moje jak posłuszeństwa słowo znaczące gestem skreślone jesiennymi wargami powietrze łapiąc i mrugając powiekami w zdziwieniu nad kartką papieru do końca już zapisaną...

Dorosłości opowiedziałem z niewinną swadą o Tobie
zagoniony zapominając słów wypróbowanych
krótkich a dosadnych prostych dróg nie wytyczając
wśród innych powykęcanych starością co z za firanki
wtrąca swoje trzy grosze jak przechodzień pijany
zgubiony w obcym mieście nad ranem...

SPIS TREŚCI

Z przymkniętymi do pół żrenic drzwiami

Kiedy wrócę nieskazono do domu

Gdziekolwiek bądź i dokądkolwiek

Zagarnąć i zamknąć w słowie tęsknotę

Deszczem złotych kropel

Złote jabłko pogryzałem słodkie

Do chwili krótkiej chwilę składam

Ocieniona zachwytem dotknięta

Metamorfozy żarem słów nie oddają ciepła

Kosmyk pamięci wokół paluszka owinięty

Na paluszkach rosnę sięgając nieba

Głodem rozpraszam słowa

Ziewaniem daję znać o drodze do raju

Spacerując wymownie od okna

Zagwieżdżona na nieba pokłonie
Zostałem namaszczony
Żeglugi chmur białych aniołów
Zamarłem w dźwięku nieoczekiwany
Zemsta korowodów szkarłatem
Plotka liściem urwanym z dalekiego kraju
Cisza koloru malin zarośniętych bluszczem
Kiedy absolutyzm serca ogon podwinął
Łakomie kąsam życie uspołecznione
Literey stawiam symetrycznie gawędząc
Smutek rozpanoszony na szczęście rozpraszam
Ziarno rozsypałem kamieniem rzuconym
Pozornie tylko kocham Cię na pozór
Wstecz o trzy kroki samotności
Posadziłem w milczeniu drzewo
Nadprzyrodzona cielesność tajemnicy

Kamień miłowy cichcem wykradłem

Oślepiłem na dźwięk słowa

Siostra niechciana Śmierć

Zerknąłem tylko raz wstecz

Dorosłości opowiedziałem z niewinną swadą

W kolumnach pochylonych znojem

Świtem gdybania nad dotkliwą wątpliwością

W strwożonej niepamięci dobrego urodzenia

Zechce cicho i bez wyrazu wychodząc

Dorosłości opowiedziałem z niewinną swadą



Po pierwsze... Snuję sobie